

wiedziała otwarcie Józia, spoglądając na chłopca wzrokiem jasnym, pełnym życzliwości.

— Ach! Tak... W takim razie, oczywiście... A ja myślałam, że może...

— Że może ojciec mnie przymusił — podchwyciła. — O! nie... Ja sama wybrałam...

Jurek wbił oczy w bruk ulicy. Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. Młody żołnierz przerwał je pierwszy.

— Tak mnie to zaskoczyło... Bo ja marzyłem... Co tam o tem gadać... Teraz... Pani wybrała już... Pani jest mężatką i ja z całego serca życzę pani wszystkiego najlepszego.

Spojrzenie miało dziwnie szczere i pocziwe. Uśmiechał się trochę smutnie, ale bez cienia jakiegokolwiek złośliwości. Widać było po nim, że życzenia jego płyną z głębi serca. Że przezwyciężywszy żal egoistyczny, pragnie dla niej istotnie wszystkiego najlepszego.

Józia była wzruszona. Powiało ku niej do brocią, ogarnęło ją ciepło czystego, bezinteresownego uczucia.

Wyciągnęła znowu do towarzysza rękę, nie zważając, że przechodnie oglądała się za nimi ciekawie. Jakies dwie panie uśmiechnęły się znacząco i pogardliwie.

— Dziękuję panu — powiedziała miękko młoda mężatka — pan jest dobry, zacny, pocziwy... Ja wiem... pan był taki zawsze... pan mi naprawdę dobrze życzy...

— Jakżeby mogło być inaczej, panno... pani Józiu...

— No i chyba pan żalu do mnie nie ma? — filuterne ogniki zapaliły się na krótką chwilę w oczach Józii. — Ta studencka miłość dla mnie to już panu pewno dawno wywietrzała z głowy. To przecież była dziecinada tylko! Przecież to już pięć lat temu, jakśmy się ostatni raz widzieli. Mnie o mało nie wyleli z „budy“, a pana mama wywiozła z Krakowa.

Jurek Borzecki nie odpowiadał. Może zupełnie wywietrzała mu z głowy „dziecinada“, może miłość piętnastoletniego gimnazysty wlokła się za nim świetlistą smugą wspomnień, marzeń i tęsknot.

— Ja mam dobrą pamięć, pani Józiu — wyrzekł wreszcie — a o pani tak łatwo nie zapomina się...

— Ech!... Ileż to pan ma lat teraz?

— Dwadzieścia kończę. — Chłopiec mimowolnie podniósł rękę do górnej wargi, pokrytej złocistym puszkciem.

— A ja mam dwudziesty... Widzi pan, coby to była z nas za para!... O, nawet wasy jeszcze porządnie nie urosły. Byłoby tak, jak Baśka z Nowowiejskim: „on nie ma wąsów, a ja rozumu“ — śmiała się Józia, spoglądając mu jednak słodko i irochę niespokojnie w oczy.

Przykro byłoby jej, gdyby ten towarzysz lat dziecinnych, ten pierwszy, gorący wielbiciel okazał, że ma do niej urazę. Lubiła go zawsze, a teraz tak ucieszyła się tem spotkaniem!... Stęskniona była za jakąś pocziwą, przyjazną duszą.

— Nie mówmy o tem — westchnął Jurek — mówmy lepiej o pani. Jakże się pani teraz nazywa?

— Żarnicka... Konradowa Żarnicka — powtórzyła z pewną dumą.

Jurek zastanowił się.

— Obito mi się to nazwisko o uszy, ale nie pamiętam gdzie i kiedy. Więc mąż pani mieszka w Łykowie?

— Obecnie jest przy wojsku — wyrzekła bardzo smutnie.

— O!... — w tonie jego głosu i spojrzeniu przebijało prawdziwe, nieklamane współczucie. — To dlatego pani ma taką bladą, smutną, mizerną buzię... Na którym froncie jest?

— Mój mąż przeznaczony jest do służby pozafrontowej.

— A, tak! To nie ma powodów do zbyt wielkiego niepokoju. Pani tutaj sama?

— Mieszkam u teściowej.

Nie wiedziała o tem sama, że w głosie jej zabrzmiała nuta gorczy, a twarz spochmurniała momentalnie.

Jurek wpatrzył się w nią uważnie, badawczo.

— Pani się zmieniła...

— Zestarzałam się bardzo, prawda? — rozśmiała się jakoś nerwowo.

— Ale gdzież tam!... Oczywiście, że rozwinęła się pani i wyrosła i wypiękniała jeszcze... — ogarnął ją spojrzeniem cichego, nieśmiałego zachwyty.

— O! Pan Jurek od komplementów zaczyna. Nie trzeba...

— To nie komplementy. Mówię szczerą prawdę. I dawniej pani była cudna, ale teraz to już poprostu... Tylko, że dawniej to była taka wesola, śmiejąca się, figlarna Józia, a teraz...

— A teraz co?...

— A teraz pani bardzo przybladła, zmizerowała i nie śmieje się pani już tak często, głośno i szczerze i oczy pani ma takie smutne... Dawniej, pamiętam, było jakieś zmartwienie, wypłakała się panna Józia, wytupała nóżkami, a za chwilę już jak promień słoneczny, jak ptak rozśpiewany...

Józia westchnęła mimowolnie.

— Inne czasy... Inne zmartwienia... Nie zawsze jest się pustem dzieckiem... Trzeba myśleć trochę poważniej.

Jurek intuicyjnie odczuwał, że ona nie mówi mu całej prawdy. Czyżby nie była szczęśliwą?

— Pani coś dolega... bardzo... bardzo... — powiedział cicho.

Odwróciła głowę, bo ją mieszało jego badawcze spojrzenie.

— Teraz ja powiem: nie mówmy o tem... Dokąd pan idzie?...

— Chwilowo bez celu... A pani?...

— Ja do domu.

— Czy mogę panią odprowadzić?

Zawahała się chwilę, ale przemogła w niej chęć dłuższej z Jurkiem rozmowy.

— Owszem, proszę. Może pójdziemy przez ogród miejski.

— Niech pani zechce prowadzić. Ja niezbyt dobrze orientuję się, bo dawno już nie byłem w Łykowie.

— A co pan tutaj robi?

— Dostałem urlop i przyjechałem odwiedzić ciotecznią siostrę. Pani ją może zna.

— Ja znam w Łykowie bardzo mało osób. Jakże się nazywa pańska ciotecznią siostra?

— Teresa Larchówna. Jest urzędniczką na poczcie.

— Panna Larchówna! A to zdarzenie dopiero! To pańska kuzynka?

— Więc ją pani zna?

— Ależ tak! To jedyna w Łykowie życzliwa mi dusza — dokończyła ciszej.

Jurek spojrzał na nią dziwnym wzrokiem, napół przerażonym, napół zdumionym...

— Jedyna?... Jakto?... A...

Józia spostrzegła, że niepotrzebnie zdradziła się. Różowa łuna rumieńca oblała na chwilę jej twarzyczkę dziwnie w ostatnich czasach zmaląłą i pobladłą.

— El... To mi się tylko tak powiedziało... bo... ja bardzo lubię pannę Teresę.

— Tak... — spojrzenie Jurka stawało się coraz bardziej badawcze i niespokojne. W siwych oczach zaświeciła serdeczna troska.

— Panno... pani Józiu...

— Co? — odwróciła zmieszana głowę, unikając jego spojrzenia.

— Pani... pani tak wygląda... obym się mylił... jakby pani nie była bardzo szczęśliwa.

— Jakże mogę być bardzo szczęśliwa, kiedy mąż mój daleko.

— No tak, ale przecież pisuje napewno do pani i nic mu złego nie grozi, skoro...

Józia nerwowo szarpała jakąś kokardkę przy swojej ciemno granatowej bluzce (jasne bluzki nosiła przestała, aby nie słyszeć uwag świekry o drożyznie mydła i rzucanych niby mimochodem utyskiwań Joasi, że „dla młodszej pani to tylko stój i pierz, tak, jakby człowiek nic innego nie miał do roboty“).

Żeby uniknąć tego, młoda kobieta nawet chusteczki swoje, pończochy i rączniki prała sama na miednicy, ale tu znowu wchodziło w grę owo nieszczęsne mydło i skargi służącej, że się „froterowana posadzka na nic zachłapie“.

Zgryzoły codziennego życia powlekały bladocią twarz młodej mężatki, zgasł dawny wesoły uśmiech i oczy miały wyraz smutku pomieszanego z jakimś nieustannym zaleknieniem.

Społkanie z Jurkiem rozweseliło trochę i ożywiło Józję. Zapomniała na chwilę o swoich strapieniach.

Ale chłopiec wyczytał snąć z jej twarzy to, coby przed całym światem ukryć była rada.

Nie chciała się zwierzać — skarżyła wstydziła się. Zapragnęła też co rychlej odwrócić od siebie uwagę towarzysza i skierowała rozmowę na inny temat.

— Ależ to pan wyrósł, panie Jurku! — prze-rwała mu, nie pozwalając dokończyć — i zmężniał!... Gdyby mnie pan nie zaczepił, to kto wie, czy bym poznała.

— Tak bardzo się zmieniłem? To chyba tylko powierzchownie. Ja znowu wszędzie i zawsze poznałbym panią, choć i pani zmieniła się.

— I jak panu do twarzy w mundurze! Więc pan w legionach służy! O! jakże panu zazdroścę! Ja, gdybym była chłopcem...

Urwała, ze zdziwieniem spoglądając na legionistę. Jakaś głęboka, ponura zmarszczka przecięła mu nagle to gładkie, białe jak u dzieciny czoło, białością swoją odbijającą od ogorzałej twarzy. Jakby się postarzał w jednej chwili.

— Kiedyśmy wvruszali, to wtedy rzeczywiście ja sam sobie zazdrościłem. Ale teraz — doprawdy niema czego zazdrościć — mruknął niechętnie.

— Jakto?

— Czyż pani nie wie? Czyż pani nie słyszy? Czyż pani nie czyta gazet?

Zawstydzona zakryła oczy powiekami.

— Wcale teraz prawie nie dostaję gazet do ręki... I nikt mi nie opowiada... Wiem, że jakieś zamieszanie, wrzenie, ale myślałam, że to nic groźnego.

Szli teraz cieniście aleją miejskiego ogrodu. Siedzące na ławkach panie i panny obserwowały ich pilnie.

Jurek spoglądał przed siebie posępnym wzrokiem. Cichym głosem, w którym drgało cierpienie, mówił:

Co robić?... Co robić?... Gdzie iść?... Tyle nadziei... Tyle trudów... Tyle krwi przelanej... Byłem wśród tych, co pierwsi poszli... co pierwsi wkroczyli do Kielc... Tylu... tylu wiernych towarzyszy zginęło... Mnie oszczędzały kule... A jednak szczęśliwi, co znaleźli żołnierski grób, zanim przyszło to straszne rozbiecie, te wahania... Lepiej by było gdybym i ja...

— Panie Jurku, co pan mówi?! — Otwartemi szeroko żłenicami wpatrywała się w niego, jak w tęczę. Szło ku niej tchnienie rzeczy wielkich, świętych, echo krzyków rozpacznych, które na cały świat dzwoniły! Gdzie iść?... Co robić?... Gdzie Polska...

— Wierzyłem... wierzyliśmy wszyscy... A teraz ciężko rzucać ten sztandar ukochany, a zostać przy nim... O! jakże trudno jest w tym zamęcie znaleźć drogę do Polski. Ech!... — machnął ręką i zaciął usta.

Józia łagodnie, delikatnie położyła mu rękę na ramieniu. Nie widziała, że pani Kozuchowska i pani Mizerska zanoszą się od śmiechu.

Co ją w tej chwili obchodził cały Łykw. Duszczyka Józina budziła się. Było jej tak, jak wówczas, kiedy w ciszy dojrzewających pól uczuła po raz pierwszy, że kocha tę ziemię czarną i rozumie, co mówi do niej słońce.

— Panie Jurku, proszę nie rozpaczać. Będzie wszystko dobrze. Ta krew nie może pójść na marne.

— Co pani wie... Co pani wie...

— Może nie wiem, ale czuję. A pan opowie mi jeszcze więcej, dużo, dużo o tych wszystkich rzeczach, żebym nie była taka głupia... Bo przecież i ja bym chciała.

Przemknęło jej przez myśl, dlaczego Konrad, dlaczego żaden inny mężczyzna nie chciał jej nigdy uczyć czego innego, oprócz miłości.

Może jeden Michnik, ale on był taki niezgrabny, nieśmiały...

— Jutro w nocy jadę do Krakowa — rzekł Jurek.

— Już jutro? O! jakbym i ja z panem pojechała...

— To niech pani jedzie!

Aż oczy jej zaświeciły i stały się do żywych turkusów podobne.

— Gdyby to można!

— Ale można! Można! Dlaczegożby nie! Jeżeli pani ma ochotę!

— Odwiedziłabym ojca... — snuła głośno swoją myśl. Po przeżyciach łykowskich dom ojca wydawał się Józii jakimś rozkosznym, cichym zakątkiem.

— Naturalnie. Ja jadę także do mojej mamy.

— O! Pamiętam dobrze pańską mamę. Taka wysoka, energiczna, brunetka. Bardzo mnie nie lubiła. Widać nie mam szczęścia do matek.

Jurek znowu popatrzył na nią badawczo.

— Do matek?... Więc i matka męża pani?... Józia skinęła w milczeniu głową.

(Ciąg dalszy nastąpi)